

Wspomnienie o poznańskich Ratajach (część 3)

Wspomnienie o nieistniejącej już dziś części poznańskiej dzielnicy Nowe Miasto.

Rataje z lat 1956 – 1965 już nie istnieją. Domy zburzono, okolica wygląda zupełnie inaczej, a mieszkańcy starych Rataj przenieśli się w inne miejsca Poznania. Stare Rataje zajmowały obszar między rzeką Wartą, a ulicą Ostrowską i między ulicą Kórnicką, a dzisiejszą ulicą Hetmańską. Mieszkańcy tworzyli małą społeczność. Zнали się, spotykali przy różnych okazjach i w

Planty

Plantami nazywaliśmy park nad Wartą, który ciągnął się od dzisiejszego Mostu Królowej Jadwigi, wówczas Mostu Marchlewskiego, do ul. Hetmańskiej i od Warty, aż do ogrodów mieszkańców Rataj.

Wtedy, tj. w latach 1950 do 1965, były to tereny dzieciwice, bo bardzo rzadko uczęszczane. Planty zaludniały się nieco tylko w niedzielne popołudnia, kiedy rodziny z dziećmi szły na poobiedni spacer. W tygodniu właściwie nie było tam nikogo, a było tam naprawdę pięknie.

Teren przedzielony był dość szerokimi alejkami, których brzegi porastały gęste krzewy i opadał łagodnie w kierunku Warty. Między alejkami rozciągały się łączki i

były chyba dwa małe stawy, a na ich obrzeżach rosły stare, rozłożyste drzewa.

Późną wiosną bardzo lubiłam łączki na plantach. Można tam było leżeć w wysokiej trawie i słuchać śpiewu ptaków, a często też kukanie kukulki. Wkoło pachniała trawa i polne kwiaty. Pamiętam delikatny zapach bladoróżowych kwiatów dzikiej róży. Jedynym większym zwierzęciem, które zresztą nie było groźne i wszyscy je lubili, był stary kucyk radnego Hamerskiego. Past się spokojnie, niczym nieskrępowany.

Zimą też lubiliśmy wracać plantami ze szkoły. Zjeżdżało się wtedy na tornistrach z górki, których trochę było na plantach. Nasze tornistry zastępowały sanki, bo zrobione były z bardzo twardej, sztywnej tektury,

powlekanej czymś śliskim, jakby plastikiem. Pewnie to nie był plastik, bo wtedy nie było jeszcze masowej produkcji artykułów plastikowych. Zamiast reklamówek, popularnych dziś jednorazówek, były papierowe torebki lub poznańskie, trójkątne tytki, a często zawijano w sklepie towar po prostu w gazetę. Nasze tornistry miały kształt prostokąta i świetnie się na nich zjeżdżało. Mknęliśmy z górki jak na bobslejach. Potem wystarczyło otrzepać tornister ze śniegu, żeby nikt się nie domyślił, że służył do zjeżdżania. Po południu chodziliśmy na sanki na górę Ziętaka.

Pan Ziętak mieszkał blisko mostu Królowej Jadwigi, wtedy Marchlewskiego i na nadwarciańskim zboczach latem wypasał swoje owce, a w zimie latarnia z jego po-

różnych miejscach. Mieli swoje sklepy, szkoły, swój kościół i planty. To wszystko zapamiętane przez dziecko, a później dziewczynkę jest subiektywnym wspomnieniem o części miasta Poznania, jej mieszkańcach i osobach, które były z nią związane w ten, czy inny sposób. Rataje były jakby autonomiczną osadą, która żyła własnym życiem, choć w Poznaniu, ale jednak osobno i miała swój niepowtarzalny klimat, jedyny w swoim rodzaju.

Barbara Płoszyńska

dwórza oświetlała całe zbocze i można było do późna zjeżdżać na sankach. Zjazd był długi i ciekawy, bo teren był nierówny, pełen większych i mniejszych wzniesień, które nazywaliśmy skoczniami. Po najecharciu na taką skocznnię sanki nabrały pędu i zdarzały się wywrotki. To było niebezpieczne, ale bardzo się nam podobało i jakoś nigdy nikomu nic się nie stało.

Latem nad Wartą ratajscy rozkładali koce, opalali się, a dzieci kąpały się przy brzegu. To nie było zbyt bezpieczne, bo Warta nie była uregulowaną rzeką, choć pamiętam, że od czasu do czasu na środku rzeki pracowała pogłębiarka. Przy brzegu były płycizny z żółtym piaskiem na dnie, ale obok zdarzały się dość głębokie dziury. Straż wodna czuwała,

więc kąpiący się szukali wzrokiem motorówki, by w porę wyjść z wody.

Pamiętam, że od katedry do Puszczykowa kursował statek wycieczkowy. Pierwszy, jaki oglądałam z brzegu – Janek Krasicki, był bardzo ładny, biały z wielkim kołem zamachowym z boku. Drugi – Dziwożona, już nie był tak piękny, bo większy, bardziej nowoczesny – bez koła z boku i kremowy.

Po rzece pływały też barki. Nawet przez parę miesięcy chodziłam do szkoły z dziewczynką, która mieszkała na barce. Potem barka popłynęła dalej i dziewczynka nie wróciła już do naszej klasy.

Nad Wartą mieszkał przewoźnik, który za drobną opłatę przewoził ludzi łódką na drugi brzeg rzeki. Raz przepłynęłam Wartę w ten



sposób. Wyprawiłyśmy się z Marylą Czarną, moją koleżanką z klasy i z jej mamą na Bielniki, po kurczaki. Na Bielnikach, blisko Stadionu 22 Lipca, była wylęgarnia drobiu, a wielu mieszkańców Rataj trzymało kury. To były biedne czasy, więc jaja i mięso z własnej kury to była duża oszczędność. Kurczaki szybko rosły, bo do karmy dodawano rzesę, którą ściągano z rzeki lub ze stawków na plantach.

Warta i planty, to był jeden z powodów, dla którego nikt z mieszkańców Rataj nie chciał mieszkać gdzie indziej. Na Ratajach się po prostu dobrze żyło.

Fot. archiwum
SM „Osiedle Młodych”

Wspomnienie o poznańskich Ratajach (część 4)



Pani Barbara Płoszyńska była pod wrażeniem zbiorów Wystawy Jubileuszowej "Archiwum dla Osiedla"

Szkoła Podstawowa nr 14

To był piętrowy budynek z bardzo ładnym wejściem, które tworzyły szerokie, kilkustopniowe schody. Obok wejścia rosło potężne drzewo.

Dziś szkoła wygląda tak samo, choć zmieniła swój profil – ze zwykłej podstawówki przekształcono ją w szkołę sportową. Dzieci uczą się w niej pływać, bo w pobliżu wybudowano pływalnię. Wtedy, kiedy była jeszcze moją szkołą, stała wśród pól, przy ul. Obrzyca 7/9 i wokoło nie było żadnych domów.

Zawsze się zastanawiałam dlaczego moja szkoła ma nr 7, a nie 1. Do dziś nie wiem, gdzie były domy z numerami od 1 do 6.

Szkoła była ostatnim budynkiem na ulicy, za nią były już tylko nadwarciańskie planty. Zabudowania na ul. Rataje kończyły się jakieś 200 m. przed szkołą. Wróciliśmy ze szkoły do domu najczęściej plantami, ale rano szliśmy ulicą. Była wąska, tak na dwa samochody, brukowana, z chodnikiem po jednej stronie. Do szkoły miałam dość daleko, musiałam przejść prawie całą ulicę, ale droga się nie dłużyła, bo szła nas cała gromada. Właściwie całą trasę

Wspomnienie o nieistniejącej już dziś części poznańskiej dzielnicy Nowe Miasto. Rataje z lat 1956 – 1965 już nie istnieją. Domy zburzono, okolica wygląda zupełnie inaczej, a mieszkańcy starych Rataj przenieśli się w inne miejsca Poznania. Stare Rataje zajmowały obszar między rzeką Wartą, a ulicą Ostrowską i między ulicą Kórnicką, a dzisiejszą ulicą Hetmańską. Mieszkańcy tworzyli małą społeczność. Zнали się, spotykali przy różnych okazjach i w różnych miejscach. Mieli swoje sklepy, szkoły,

znaliśmy na pamięć i można ją było przejść z zamkniętymi oczami.

Szkoła mnie nie stresowała. Lubiłam chodzić do szkoły. Mieliśmy wspaniałych nauczycieli.

Moją wychowawczynią była pani Matyniak, od biologii – szczerupłutka, drobna, z niezłomnymi zasadami, ale sprawiedliwa. Kto się dobrze sprawował mógł w nagrodę podlać kwiatki w gabinecie biologicznym, a było ich tam naprawdę dużo, prawdziwa dżungla. Każdy chciał podlewać.

Kiedyś pani Matyniak wyrzuciła mnie z klasy na korytarz, bo nie mogłam opanować śmiechu i przeszkadzałam w lekcji. Śmiałam się bez przerwy i bez żadnego powodu, nie wiem dlaczego. Było mi wstyd przed panią, bo ją rozgniewałam. Nie miałam do niej pretensji. Sama bym tak robiła.

Pierwszym dyrektorem naszej szkoły, którego pamiętam, był pan Aftyka, surowy i z wielką charyzmą. Wystarczyło, że się pojawił na szkolnym apelu, a już wszyscy milkli. Następowala świdrująca w uszach cisza. Czekaliśmy, co powie, bo to było dla nas ważne. On nigdy nie mówił mało ważnych rzeczy. Nie musiał podnosić głosu – nigdy nie krzyczał i też raczej nigdy nikogo nie karał. Jego ulubionym powiedzonkiem było: tak, czy owak, zawsze Nowak. Pewnie był w tej szkole jakiś rozrabiacz Nowak, który wszystkim dał się we znaki.

Za moich czasów było dwóch sławnych, szkolnych rozrabiaczków – Holner i Palka. Holner tak zdenerwował pana od matematyki, że ten nieomal dostał ataku serca. Wstał łobuza do kąta, a chłopak obrócił się i zagrał mu na nosie. Tego nikt, by nie wytrzymał. Za to zachowanie

Holner otrzymał od pana kopniaka kolaniem w tyłek, ale o ile pamiętam nie bardzo się tym przejął.

Pamiętam też, że na moich oczach usiłował wynieść ze szkoły pod pachą skarbonkę – domek, która stała na dolnym korytarzu pod olbrzymim, okrągłym, szkolnym zegarem. W tej skarbonce było dość dużo drobnych pieniędzy zbieranych na FOZ (fundusz odbudowy stolicy). Oczywiście Holnera złapano, ale wtedy dorosli byli jeszcze mądrzy i oprócz lania nieszczęśnik nie dostał żadnej kary.

Zawsze dawano szansę. Nie zgłaszano na policję, nie sądzono, nie łamano życia w domach porządkowych. I to było dobre. Zatwardziałe szkolne nieroby w końcu trafiły do Ochotniczych Hufców Pracy, gdzie uczyli się jakiegoś rzemiosła i większość potem wyrastała na porządnymi ludźmi.

Palce, drugiemu ze szkolnych urwisów, pożyczylam, z dobrego serca, mój dziecięcy rowerek. Zniknął wtedy z rowerkiem na parę dni. W tych czasach rowerki były drogie. Moja mama poszła na ulicę Łacinę, gdzie mieszkał Palka i po prostu odebrała mu rowerek nie wyciągając żadnych konsekwencji. Była mądrą kobietą i wiedziała, że pragnienie posiadania rowerka było w dzieciaku tak silne, że sobie wyuczajnie z nim nie poradził.

Następnym dyrektorem mojej szkoły był pan Sawczyn – młody i impulsywny. Mógł krzyknąć do woli, robił się przy tym czerwony jak burak, a na apelu i tak był hałas. Nie miał charyzmy dyrektora Aftyki, jednak wiedzieliśmy, że jest mądrym i dobrym człowiekiem. Nigdy nikogo nie skrzywdził i też nikt go się nie bał, ale za uczciwość i sprawiedli-

wość był doceniany.

Pamiętam pana od historii – Węclika, który nauczył mnie czytania gazet, śledzenia wydarzeń w Polsce i na świecie i dzięki któremu zawiązało się wiele długoletnich przyjaźni między uczniami naszej szkoły i dziećmi z różnych stron Polski.

Pan Węclik dawał nam mądre zadania domowe. Musieliśmy prowadzić zeszyty do których wkładaliśmy wycinki z gazet dotyczące jakiegoś wybranego, ważnego wydarzenia. Wycinałam z Gazety Poznańskiej artykuły o wojnie w Wietnamie. Nie wiedziałam wtedy kto z kim walczy i o co, ale nauczyłam się czytać gazety i interesować się tym, co dzieje się w moim kraju i na świecie, nie tylko w Poznaniu i na Ratajach.

Poza tym pan Węclik zainicjował akcję korespondencji ze szkołami z małych miasteczek Polski – rozdawał nam adresy dzieci, a my pisaliśmy do nich listy. Z tego narodziło się wiele przyjaźni, a dzieci nauczyły się pisać listy.

Pani Tylkowska od rysunków i prac ręcznych była starsza, staromodna i surowa. Jej przedmiot traktowaliśmy bardzo poważnie. Czasem nawet baliśmy się go bardziej niż matematyki. Pamiętam, że nie przepadałam za tzw. „robotkami ręcznymi” i nawet miałam nie zaliczyć piątej klasy przez dwóję z prac ręcznych. Mama i babcia mnie wyratowały. Pomogły mi zrobić batystową chusteczkę z koronką do wielkanocnego koszyka. Prace ręczne nie były moim ulubionym przedmiotem, ale panią szanowałam za wiedzę i fachowość. Nauczyła mnie wielu rzeczy – robić na drutach, szydełkować, stebnować,

swój kościół i planty. To wszystko zapamiętane przez dziecko, a później dziewczynkę jest subiektywnym wspomnieniem o części miasta Poznania, jej mieszkańcach i osobach, które były z nią związane w ten, czy inny sposób. Rataje były jakby autonomiczną osadą, która żyła własnym życiem, choć w Poznaniu, ale jednak osobno i miała swój niepowtarzalny klimat, jedyny w swoim rodzaju.

Barbara Płoszyńska

cerować, przyszywać guziki, a nawet szyć na maszynie do szycia. Dzięki pani Tylkowskiej dziś umiem gotować i piec.

Pamiętam wycieczki do fabryki Hentscha – nie wiem gdzie dokładnie to było, ale chyba w miejscu dzisiejszego Lidla przy ul. Zamenhofa. Tam można było nakopać wspaniałej niebieskiej gliny, bardziej plastycznej niż dzisiejsza plastelina. Rzeźbiliśmy z niej na lekcji plastyki zwierzęta, a nawet postacie.

Pamiętam też wycieczki na Ostrów Tumski, w pobliże katedry i kościoła Najśw. Marii Panny. Stałiśmy nad Cybiną i robiliśmy szkice węglem obu kościołów. Pani Tylkowska nauczyła mnie różnych technik malarskich. Myślę o niej z uznaniem, choć nie byłam jej najzdolniejszą uczennicą, ale jej lekcje zawsze były ciekawe i pouczające, bo po prostu była pasjonatką swojego przedmiotu.

To były dziwne czasy, choć w naszej szkole raczej normalne. Pamiętam, że kiedyś, na dużej przerwie, pan Kozakiewicz od języka rosyjskiego, o pseudonimie Fiedia, miał dyżur na korytarzu. Stał pod szkolnym zegarem i pilnował, żeby dzieciaki się nie pozabijały. Ktoś mnie popchnął i uderzyłam pana Kozakiewicza głową w brzuch. Byłam przerażona. Nie wiem dlaczego pomyliłam brzuch pana od rosyjskiego z brzuchem proboszcza Czemplika i powiedziałam: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Nie wiem jaką pan miał minę, bo uciekałam. Po latach dowiedziałam się jakim wspaniałym człowiekiem był Fiedia. Wyprawił synowi mojej, biedniejszej koleżanki przyjęcie komunijne.

Szkoła podstawowa przy ul.

Obrzyca rozwijała talenty i uczyła rozumienia różnych rodzajów sztuki. Pamiętam seanse na auli kina objazdowego. Wspaniałe były też wizyty filharmoników poznańskich z dyrygentem Jerzym Młodziejowskim. Do dziś wspominam jego tłumaczenie Węltawy Bedricha Smetany. Nauczyłam się wtedy rozumieć utwory muzyczne.

Na wiosnę, przed Dniem Zwycięstwa, ćwiczyliśmy na Dolnej Wildzie, przy Stadionie 22 Lipca, z uczniami z innych szkół, zbiorowe układy taneczne. To były propagandowe działania ówczesnej władzy, ale dla nas, którzy jeszcze nie interesowaliśmy się polityką, to były nowe i ciekawe.

Jeździliśmy też ze szkołą na sadzenie lasu. Były to pożyteczne wyjazdy, bo można się było przekonać jak długo muszą rosnąć drzewa, by można je było nazwać lasem. Mam takie przekonanie, że wielu moich rówieśników, po takim wyjeździe, nigdy nie niszczyło drzew i pewnie wielu, w dorosłym życiu, posadziło drzewo.

Pod koniec roku wyjeżdżaliśmy na klasowe wycieczki. Dzięki nim byłam pierwszy raz w Warszawie, widziałam Pałac Kultury, jechałam ruchomymi schodami, byłam na warszawskiej starówce. Zwiedziłam Trójmiasto, widziałam polskie morze i góry, bo pojechałam z klasą do Zakopanego. Moich rodziców nie było stać na takie wyjazdy.

Byłam też z klasą w kinie Muza na pięknym filmie: A lasy wieczne śpiewają.

Dzięki mojej szkole coś zobaczyłam, gdzieś byłam, czegoś się nauczyłam.

To była wspaniała szkoła i cudowni nauczyciele.

Fot. Jerzy Raube